Nr. 27. Lwów dnia 2. sierpnia. Rok 1865.

TYGODNIK NAUKOWY.

Wychodzi we Środę. Kosztuje z przesełką pocztową: 6 złr. rocznie; 3 złr. półr.; 1 złr 50 cnt. kwart; 50 cnt. mieś. Listy niefrankowane nie przyjmują się.
Redakcja i administracja naprzeciw Bibl. Ossolińskich L. 375 1/4

Wiek XVIII i konfederacja barska.

(Wiek XVIII. w objawach egoizmu.)

(Ciąg dalszy.)

Na tę wieść rada Rzeszy niemieckiej ogłasza (20 września 1756) Frydryka burzycielem spokoju publicznego i buntownikiem. Lecz on na to nie zważa, dalej wojnę prowadzi i w niespełna rok (22. sierpnia 1757) znowu przez tęż radę (Rzeszy niemieckiej) ogłoszony za banitę pozbawionego wszystkich posiadłości, praw, przywilejów, tytułów... Frydryk pisze na tę wieść testament polityczny (wierszami francuzkimi) i zwycięża Francuzów pod Rosbach.

Któż nie zna siedmioletniej wojny? zresztą nie należy ona szczegółami swymi do obecnej pracy. Dosyć więc nadmienić, że Frydryk zwycięża pod Rosbach (Francuzów), Leiten (Austrjaków) i Zorndorf (Moskali) ucierpiawszy sam kilka razy porażki (Kollin, Hochkirchen, Kunersdorf), w szóstym roku walki (1762) przeciw prawie całej Europie, był blizki ostatecznej zguby, gdy szczęście mu znowu zaświeciło. Nieprzyjaźna carowa Elżbieta umarła, a jej miejsce zajął Piotr III. największy zwolennik Frydryka i Prusaków,*) i Katarzyna (II) razem z monarchą pruskim wprowadzająca w życie szatańskie zasady; przedsiębierczy William Pitt oddalony z ministerstwa, a 100.000 Turków grozi Marji Teresie. Stosunki się więc całkiem zmieniły; i 10. lutego 1763 roku pełnomocnicy Anglji, Francji i Hiszpanji podpisali traktat w Wersalu, a 5 dni później, ambasadorowie Austrji i Prus podpisali podobnież w Hubertsburgu w Saksonji.

Walka siedmioletnia, w której pół Europy występowało przeciw Prusom i Anglji, miała w skutku to, że Niemcy przyszły do stanu w jakim się znajdowały przed wojną. Anglja nabyła kilka nowych posiadłości, a Frydryk zwycięztwami przekonał Europę, że był niezwyciężony (w wojnie i krętactwie) i natchnął Prusy wiarą w siły swego państwa.

„Jakiż rezultat tych potyczek i walk krwawych? — pyta Voltaire w swoim „*Siecle de Louis XV*“ — których opis nawet nudzi (teraz 1773) tych, którzy się tam odznaczyli? Cóż pozostało po tylu wysileniach? Nic, zgoła

*) Gdy był pijany pewnego razu pochwalał się przed pułkiem przeobrażeńskim, że z 50 Prusakami do szczętu by go zniósł.

nic! — krew niewinnie przelana w krajach opustoszonych i zrujnowanych, wsie zburzone, miasta w zgliszczach, całe rodziny skazane na żebractwo! A rzadko nawet choćby ciche echo tych nieszczęść i tej rozpaczy dolatuje do Paryża, zatopionego w zabawach, rozkoszach lub rozprawach lubieżnych.“

Prusy drogo opłaciły sławę potęgi i zwycięztw. Stolica sama była kilka razy zrabowana, ludność jej znacznie uszczuplala. Ale Berlin mało jeszcze ucierpiał w porównaniu z innemi częściami kraju. „Prywatne posiadłości — mówi współczesny pisarz — do tego stopnia były zrujnowane, wszystkie stany tak zubożone, że widok ówczesnych Prus wzruszyłby najobojętniejszego człowieka. Same kontrybucje nałożone i wzięte przez nieprzyjaciół przewyższały 100.000.000 talarów, a wartość tego, co żołnierze zabrali z sobą lub zniszczyli o wiele przewyższała wspomnianą sumę. Pola zostawały nieuprawione. A ziarno przeznaczone na nasienie spożyto podczas głodu. Głód a ztąd grasujące choroby, nie mówiąc już o wojnie, przerzedziły nadzwyczajnie ludność, (która w ciągu siedmiu lat zmniejszyła się o 10. procent). 15.000 domów zniszczonych zostało przez ogień. W niektórych okolicach podczas żniw i zbiorów same tylko kobiety pracowały. W innych stronach podróżny ze zgrozą spotykał opustoszałe wioski, w których nie zostało ani żywej duszy. Nie można nawet przypuszczać, ażeby i trzydzieści lat spokoju i troskliwości mogły zagoić rany i zniszczenie sprawione przez wojnę siedmioletnią tylko.“

„Oto koniec do nieopisania okropnej wojny — woła Rottek — wojny, która Europę kosztowała więcej jak milion najdzielniejszych ludzi; zniszczenie, nędza i cierpienia bez liczby i końca, prawie bez wyjątku po całej ziemi się rozgościły, bez rzeczywistej korzyści już dla ogółu, już dla szczegółów, oprócz jednej Anglji, która zyskała ukrzepienie handlowych stosunków. Wprawdzie wielka wypłynęła z niej (wojny) nauka, której uznanie mogłoby w części zabliźnić zadane rany... ale historja wszechświata przedstawia tysiączne nauki tego rodzaju, a zawsze nadaremnie; ponieważ nie na samego przestępcę i gwałciciela praw, ani też na innych łamiących wiarę (ośmielanych ciągłą pobłażliwością, cierpieniem a nawet dobrem mianem), ale tylko (wyłącznie) na ludy, nie mające najmniejszego głosu i pozbawione wszystkiego czynnego udziału, spada zemsta na złamanie historycznych praw ludzkości.“

Na zakończenie tego (trzeciego) ustępu pracy, oto kilka faktów charakteryzujących wiek i jego objawy.

W kraju gdzie lud wierzył, że trzęsienie ziemi (1755 w Lizbonie) spowodowane gniewem Bożym za grzechy mieszkańców i króla, w tym kraju pierwszy minister i mąż stanu markiz de Ponibal, żeby upokorzyć arystokrację i przeprowadzić ustalenie swojej władzy i wpływu przestrasza króla (Józefa I.) spiskiem, który złożonym będąc z kilku najpierwszych rodzin magnackich i Jezuitów, miał nastawać na życie monarsze. W skutek jakoby wykrycia tego zamachu przeprowadzono tajemne sądy i nastąpiła egzekucja. Książe de Aveiro był kołem łamany, a później palony, (dobra jego skonfiskowane, a pałace zburzono.) Markiz Tawora (potomek wice-królów de Goa) ćwiartowany, jego żona (przodkowie jej pochodzili od królów Leonu i nazywali się markizami z łaski Bożej) ścięta,*) ich synowie zięć i trzej wierni słudzy zaduszeni. Ferreria spalony razem z rusztowaniem — świadkiem tych (inkwizycyjnych) okropności. Otóż ten spisek (o którym mówi

*) Ważny powód zguby markizów de Tawora było to, że król (Józef I.) chciał uwieść ich córkę księżniczkę d' Akuna (d' Auchna).

J. Müller, że podług twierdzenia wielu pisarzy nigdy nie istniał), jako też i słowa Malagridy jezuity proropujące królowi zgubę, gdy się nie poprawi ze swoich wszeteczeństw, powoduje w 1759 roku zupełnie tego fanatycznie katolickiego państwa z Rzymem, odesłanie nuncjusza papiezkiego, i wypędzenie 800 jezuitów na same tylko brzegi Italji.

W kilka lat później Hiszpanja, ta protektorka i wyznawczyni świętej inkwizycji, wynalazku dominikańsko-jezuickiego, poszła za przykładem zbuntowanej przeciw Rzymowi Portugalji. Skarbnik kastylski (*le fiskal de Castillc*) don Ruy de Campomanes występuje pierwszy przeciw jezuitom. Oskarza ich o zewnętrzną pobożność, o jałmużny udzielanie ubogim, starania około słabych i więźniów, poczytując te wszystkie uczynki jako środki przechylenia ku sobie ludu i użycia go w swoich celach. — Dalej oskarzenie zarzucało im bunt podniesiony przeciw markizowi de Squillace (minister stanu), jako też i w Paragwaju.... nakoniec, że ich zakon pracował nad przekonaniem narodu, że Karol III był synem pobocznym kardynała Alberoniego, i przez to ażeby go pozbawić dziedzictwa tronu hiszpańskiego. Sądy rozstrzygające o losach zakonu by,y również tajemne jak w Portugalji. Po upływie 2 miesięcy, 6. marca 1767 roku, jezuici wypędzeni z całej Hiszpanji i Paragwaju. Tegoż roku podobna procedura rządowa wypędziła jezuitów z Francji.

Do Civita-Vecchia wylądowało 2.300 jezuitów i 1.500 innych tegoż zakonu wypędzonych z Neapolu, Sycylji i Korsyki, po większej części starców słabych i delikatnych, przyzwyczajonych do życia mistycznego i kontemplacyjnego, całkiem więc przeto niezdatnych do pracy ręcznej. Przepełniony z tego powodu, goryczą i boleścią wiekowy Klemens XIII. zwrócił się ku cesarzowej rzymskiej Marji Teresie, nieszczędzącej łez na opłakanie niesprawiedliwego świata. — zgrzybiała a uciśniona głowa kościoła prosi ją o pomoc i opiekę. „Nie mam innej broni jak łzy i prośby — pisze do Marji Teresy Klemens XIII. — szanuję monarchów, których Bóg zesłał na ukaranie swego kościoła.“ Marja Teresa zepomniała o łzach wylanych (w ucisku przemocy) w obliczn Węgrów, a gabinet wiedeński, również jak i inne państwa odrzucił prośbę papieża jako też i bullę *„in coena Domini.“* Klemens XIII. nie przeżył tych ciosów.

Następca jego Klemens XIV. (dawniej Ganganelli) oświadcza, że nie ma prawa skasować zakonu jezuitów, ponieważ założenie onego, potwierdzone i usankcjonowanc drzez sobór ogólny w Trydencie. Odmówił także Francji i Neapolowi posiadłości Awinionu i Benewentu zagarniętych jego poprzednikowi, fundując się na tem, że nie miał prawa do podobnego rozporządzenia będąc zarządcą (*régisseur*) a nie właścicielem dóbr i posiadłości kościoła, ztąd więc nie mógł ani najmniejszej ich cząsteczki zbywać. Awinion i Benewent odebrane siłą.

1773 roku Klemens XIV. nalegany od wszystkich panujących równie jak i od Marji Teresy o zniesienie zakonu, uczynił zadość woli wydaniem pożądanej bulli. Ustępstwo za ustępstwo. Uwaga na sobór trydencki przez te kilka lat spełzła, i nad nią łatwo przewagę wzięła chęć ukompletowania majątku kościelnego. Awinion i Benewent oddane papieżowi — zakon jezuitów zniesiony.

Od tronu Klemensa XIV. podpisujycego bullę i w krótce życie kończącego (struty przez jezuitów), przenieśmy wzrok na jeden mały fakcik znamionujący rządy ówczesnej Francji. D' Aiguillon będąc gubernatorem Bretanji, rządził tam zupełnie jak satrapa: zdzierał z ludu kontrybucje pieniężne i z mobilji (sprzęty), porywał młode żony i córki mieszkańcom, a piękne i świeże mniszki z klasztoru, dzieląc się przytem z królem Ludwikiem XV. całą zdobyczą. Zarzucony skargami martyryzowanych mieszkańców parlament,

wydał mu proces. Sprawa ciągnęła się długo: król bronił Aiguillona i gwałcił wyroki parlamentu; ale parlament silnie obstawał przy prawie i władzy. Nie mogąc przełamać parlamentu, król zniósł go, ogłaszając: „wola króla jest jedynem prawem w państwie, a sędziowie wszelkich stopni, są wykonawcami tej woli.“

Do nadania kolorytu temu faktowi, dodajmy że Pompadour przedtem jeszcze umiera, przeciwnicy jej i Choiseula wybierają ładną gryzetkę (L'Ange) z pierwszego eleganckiego magazynu mód, wydają za nikczemnego brabiego Du Barry i ją na miejsce Pompadour promują. Choiseul oddalony od ministerstwa i skazany na wygnanie, a nowe ministerstwo składa się z wyżej wspomnianego d' Aiguillona, kanclerza Mopo, abata du Terray i Bolni zasłużyło u narodu na nazwę „*vinaigre de quatre voleurs.*“ W ministerstwie finansów zawiązano komisję zajmującą się sprzedażą chleba; lud ją nazwał „*pacte de famine*“. Taka to atmosfera otacza fakt zniesienia parlamentu we Francji.

Na przeciwnym krańcu Europy, Katarzyna (II) męża swego Piotra III. więzi i w krótce o śmierć przeprawia (1762), wydając następny manifest do Moskali jakoby dla usprawiedliwienia swojego postępku względem małżonka: „Zmarły monarcha — mówi Katarzyna w manifescie — chciał znieść zwyczaje uświęcone przez kościół. ubliżył sławie oręża moskiewskiego niespodziewanym zawarciem traktatu z Prusami; był niewdzięcznym i twardego serca, nie uroniwszy ani jednej łzy przy śmierci swojej ukochanej ciotki, imperatorowej Elżbiety; posunął bezbożność aż do zaniechania częstego używania przysięgi, a nierozsądek do tego stopnia. że dał wojsku swojemu rozmaitych kolorów mundury, tak jakby ono nie należało do jednego pana; nakoniec groził swojej żonie (Katarzynie II) okropnym losem, od którego Opatrzności podobało się ją uwolnić, kończąc dni cara silną kolką hemoroidalną.“

Katarzyna była „niezgrabną naśladowniczką“ Frydryka II Znamy go już z poprzednich czynów, nie zawadzi jednak dorzucić jeszcze to, co pisał do d' Alemberta (encyklopedysty) o rozbiorze Polski. „Niewiem jaki śmiertelnik wyrzeknie się pracy z całą usilnością i radością, gdy się nadarza sposobność posiąść ziemie — pisze Frydryk — za pomocą których można ulżyć swemu zrujnowanemu państwu. A najbardziej uważ, że to dzieło przeprowadza się bez rozlewu krwi. Encyklopedyści mogą, ile im się podoba hałasować przeciw podstępnym gabinetom: pyszne ich frazesa bynajmniej mnie nie obchodzą. Kropla inkaustu, jedno pióro, i wszystko spełniono; Europa przynajmniej odetchnie po ostatnich wzruszeniach“ Takiej zasady i twórcy jej, Frydryka II. był wyznawcą Józef II, znacznie oddziaływujący przez siebie i Kaunitza na rządy Marji Teresy.

Wyżej wspomniana sprawa jezuitów (którzy zupełnie nie wzbudzają pożałowania, zasługując na to, ażeby przeciw nim użyto własnych ich sposobów) zdaje się nam rzucać śmiało, jak w każdej sprawie egoizm właściwy XVIII. stuleciu wprowadzał działaczy na najkrętsze i najnikczemniejsze drogi, uderzając na nieprzyjaciela nie z przodu i otwarcie, ale podpełzując skrycie i targając nagle za jego wnętrzności. Sprawa parlamentu i indywidualności Du Barry charakteryzują Francję i jej ówczesną moralną potęgę; przytoczony manifest Katarzyny wypowiada całą politykę moskiewskiego potworu prowadzonego wszechwładnie przez tę rozpustnicę; bezczelność znamionuje Frydryka słowa do d' Alemberta. Ten sam duch wieje i w stosunkach Europy do Polski.

Francję rządzonę przez gryzetkę de l'Ange (du Barry) i bezsilną Turcję miała konf. barska za sobą. Przeciw niej zaś byli: Katarzyna II, Józef II. i Frydryk II.

(C. d. n.)

WIZJA.

Był skwarny dzień lipcowy. Powietrze całe szkliło się żarem słonecznym. Nie oddychał najlżejszy nawet wietrzyk, nie zaszeleściał żaden liść na drzewie i kwiaty pod mojem oknem smutnie pochyliły pstrokate głowy, pragnąc każdą czypułką, każdym listkiem uwiędłym, bodaj kropelki deszczu. Tylko malwy stały proste, strzelając smukłemi kitkami w błękit, jasny bez obłoczka najmniejszego.

Ale z południa począł zasępiać się widnokrąg. Zczerniało niebo od wschodu i ciemna, gruba chmura wypełzała z pod ziemi i rozwieszała się kłębami coraz szerzej, opadając coraz niżej, miejscami czerniejąc, miejscami ognistą nawodząc się barwą. Wkrótce wypełniła sobą całe niebo, zgasiła słońce i przygniotła brzmieniem swojem parne powietrze. Wyglądało tak, jakoby strop niebieski okrył się trumianym całunem, czerwieniejącym po krajach odblaskiem lamp i świec zdadusznych, i jakoby miał opaść całkiem na ziemię cichą, niby oniemiałą w smutku i trwodze, gdyby się nie był zaczepił na szczytach gór i drzew gdzieś tam na krańcu widnokręgu. Milczące topole nad drogą stały jak filary, podpierające to czarne sklepienie, a ono poczynało już wstrząsać się grzmotami i pękać wężowym ogniem błyskawic. Nad spiekłą ziemią zawisła burza.

Otworzyłem okno i wyglądałem niecierpliwie rychło zawyje wicher i zaszumi ulewa. Byłem znużony i senny od skwaru dziennego. Usiadłem i oparłszy głowę na dłoni wodziłem okiem bez myśli po czarnem niebie.

Na zachodnim krańcu konała bladawym połyskiem resztka słonecznego światła. Zdawało mi się jakoby w tej stronie usuwały się obłoki kędyś daleko w głąb i jakoby otwierała się przepaść jasna, nieskończona, zamknięta dokoła jak w ramy czarne kłębami chmur, opasana płomienistym wieńcem błyskawic. Jakiś szmer zalatywał z dali, niby brzęk sierpów na łanie, niby cicha pieśń żniwiarzy i zmięszany z wonią łąk skoszonych i tchnieniem lasów poił mi ucho i pierś zarazem. Coraz dźwięczniejsze, coraz jaśniejsze słyszałem głosy i widziałem jak z błędnego tumanu mgły, który wiatry zwiały kędyś ze świata, zbierając po kropli, po atomie, wypłynął potok ludu i płynął ku mnie, zaledwie zrazu widzialny, coraz się rozrastając, coraz szerszem lejąc się korytem. Za małą chwilę zalały fale ludu tego nieprzejrzane obszary, bez szumu, bez wrzawy, a kędy tylko doszła jego powódź zazieleniała się ziemia i błogosławiła przyb yszom kłosem zbożowym, stadami trzód, rojami pszczół. I zagrzmiał głos potężny z góry, jakby chór trąb archanielskich: „Posyłam w świat ten lud mój, aby błogosławieństwo niósł ziemi i ludom innym i aby krwią własną użyźniał rolę, na której nowe kiedyś zakwitnie życie. Oto jest ten, którego jest przyszłość i w którym jest przyszłość narodów. I będzie zdeptan, aby powstał, będzie złamany, aby wzrósł tem wyżej, będzie zwichnięty, aby poszedł tem prościej, będzie w grób położon, aby zmartwych powstał, albowiem jego jest przyszłość i on sam jest przyszłością.“

Na ten głos z góry odpowiedziała pieśń z miljona piersi i uniosła się nad łany zbożowe z dźwiękiem miljona luteń. A lud cały pląsał; mężczyźni w kłosianych wieńcach, dziewice we wiankach z bławatów, starce z dębowem liściem uplecionem w siwe włosy. I wszyscy byli tak weseli, jakby ich życie było tylko życiem chwili, jakby nie znali jutra, albo jakoby całe wieki rozkoszy, niby nieprzejrzane łąki kwiecia, ścieliły się przed nimi.

Pieśń ich płynęła w obłoki, w nieskończoność, w niebo i gdzieś pomiędzy gwiazdami snując się szlakiem srebrzystym, gubiła się w mlecznej drodze. A po tym szlaku srebrzystym zstąpiła z gwiazd jakaś postać biała, o skrzydłach tęczowych, dzierzganych promieniem księżyca. Na głowie

miała wieniec konwalji, w rekach pęki kwiatów polnych i cała była wonią i mgłą i snuła się jak nić pajęcza po nad ziemią i przystawała i rzucała kwiaty po między rzesze. A każdy kwiat rzucony z jej dłoni był pieśnią i każda pieśń co z ziemi płynęła ku niej zastygała w kwiat, w ziółko, w ptaszynę złotopiórą i krążyła w koło niej, bo ona była źródłem pieśni. I wszystek świat, od trawki nikłej do omszonego dębu, osnuł się srebrną przędzą pieśni. I całe życie tego ludu rozbrzmiało pieśnią, cała jego dusza utonęła w pieśni, która stała się nieśmiertelną i zamieszkała na ziemi pod ich stopami i nad ich głowami w gwiazdach.

Jakaś siła tajemna a nierozerwalna związała mi serce z tym ludem — rozkochałem się w nim, radowałem z nim. Więc lęk mię zdjął zimny, kiedy ujrzałem słup kurzawy, nadciągający od wschodu i kiedy usłyszałem dziki szczęk oręża Rozpierzchnął się ów lud boży i padał twarzą na ziemię. Krwawa łuna rozlała się po całem ich niebie, a na ich role spadła horda straszna, błyskająca mieczami i dysząca zniszczeniem. Przycichł ich spiew, pękały ich lutnie ze świstem, ale owa srebrna droga po niebie wiła się ciągle jasnym szlakiem i owa postać mglista majaczyła się jeszcze zawsze w powietrzu, tylko, że w jej oczach błyszczały perły łez, a po jej szacie białej zastygały koralami krople krwi I ulatywała coraz wyżej, bo parły ją w górę wściekłe wichry, pędząc na kłębach czerwonych chmur z szumem, z grzmotami i z piorunami.

Straszno było na niebie, straszniej na ziemi. Widziałem krwi strumienie, rozdarte piersi i strzaskane szaszki i stada ptactwa czarnego krążące z przeraźliwem krakaniem po nad trupami i rozszarpujące żywe mięso i całe pola białe od trupieszejących kości. I widziałem rozbitków tego ludu w pętach i okowach, wleczonych u tryumfalnych rydwanów rzymskich i greckich, widziałem ich w łachmanach niewolników sprzedawanych jak bydło po targach w Korasanie i Andaluzji, widziałem ich eunuchami jak zamiatali proch z marmurowych posadzek w pałacach rzymskich imperatorów, jak wieńczyli różami głowy tyranów i lali wonne balsamy w ich włosy i widziałem ich gladjatorami jak walczyli w cyrkach ze sobą i z bestjami dzikiemi. Ale wszędzie była z nimi ich pieśń i wiązała ich dusze złotą nicią z rzeszą ich rodaków, co na własnej pozostali roli.

A byli oni bardzo biedni; łzami i potem zmywali krew swoich ran, ścielili karki pod stopy swych ciemiężców i pod kopyta ich koni. Czoła ich wszystkich palił srom i wzgarda i duszę ich gniotło najstraszniejsze ze wszystkich przekleństw nieba i ziemi — niewola, istotę ich kalała piekielna nazwa — niewolnik. Matkom ich wydzierano dziecięta i dawano psom na karm, i widziałem jak psy się gryzły nad trupkiem małym, białym, o jasnych włosach i rozszarpywały go w sztuki. Matka porwała za włosięta główkę białą dzieciny i wydarłszy ją z psiej paszczęki tuliła do piersi, a potem jak wilczyca wściekła rzuciła się na stojących obok ludzi i gryzła ich i drapała, aż pokąd jej nie ubito.

Nie mogłem dłużej patrzeć, zamknąłem oczy i zawołałem: Czemuż tak cierpi Twój lud, Panie! I powstał straszny szum wichrów w powietrzu, i rykły pioruny, a z tej dzikiej wrzawy żywiołów splotły się słowa przerażającej grozy i leciały z grzmotami na ziemię: „Uciśnionym w poranku, zakwitnie złota wolność w południu życia, uciskających stoczy mól ich własnej złości i nim zabłyśnie nowa jutrzenka pochłonie ich nicość.“

Kiedy podniosłem znowu oczy było ciemno, tylko gdzieś w dali szkliła się jakaś szyba wodna, której końca nie widziałem. I okazał się okręt o rozdętych żaglach płynący do brzegu. Wysiedli zeń męże w zbrojach, mający, miasto hełmów, wilcze paszczęki na głowach, a głowy ich długie zdobiły włosy. Z drugiej strony ciągnął inny lud w wielkiej liczbie, cały

w żelazo zakuty o hełmach pieżastych i mnogich proporcach szeleszczących w powietrzu. Nagle buchnęły łuny i oświeciły ziemię. Ujrzałem, że owi rycerze co szli od lewej strony byli krwawi cali i na włóczniach zatknięte nieśli głowy ludzkie, a na ich proporcach błyszczały krzyże. I stanęli przeciw sobie jak lwy rozjuszone ci w szyszakach i tamci z wilczymi łbami i wytknęli na przód włócznie i podnieśli błyszczące miecze.

Z włoczeń i mieczów sączyła się krew i padała kroplami na rzeszę owego ludu ujarzmionego stojącą pośrodku, bladą i opasaną wstęgą rzeki z krwi i ognistym płotem pożarów. Matki ich tuliły płaczące dzieci u łona, mężczyźni błędny toczyli wzrok i zaciśnięte mieli rozpaczą usta, a wybladłe twarze. I wyglądali tak, jakoby czekali tylko spełnienia krwawej ofiary i jakieś trupie już wiało od nich powietrze i stada czarnego ptactwa krążyły już nad niemi, ciesząc się nadzieją łupu.

W tem zleciały owe krzyże z proporców niby białe gołębie i wzniosłszy się wysoko w niebo zajaśniały jak gwiazdy brylantowe. I widziałem jak te gwiazdy wirowały, krążyły, zbiegały się i rozpryskały, łączyły razem i rozbijały w miljony gwiazd nowych, aż w końcu zaczęły się wiązać, spajać i stworzyły jeden krzyż olbrzymi, który ramionami swemi sięgnął od krańca do krańca nieba.

I stała się jasność wielka. I słyszałem jakby chór aniołów spiewających po gwiazdach „hosanna!“ i głos wielki wołający: „We mnie jest żywot.“ I padły owe rzesze struchlałe na kolana i wyciągały ręce w niebo a matki podnosiły swe dzieci do góry. A owi w wilczych łbach na głowach pospuszczali krwawe miecze ku ziemi i ugięli harde karki, a tamci w pierzastych hełmach odwrócili twarze wyżółkłe złością i miotając przekleństwa ciągnęli wstecz gdzie były ciemności.

I ukazał się na niebie wieniec aniołów, jak klucz żórawi, jak tęcza w okrąg zwinięta i spięta gwiazdą poranną. Z rosą spłynął na ziemię spiew: „Chwała Bogu na wysokościach i pokój ludziom dobrej woli na ziemi.“ I na każdą głowę z pomiędzy tego ludu padała jedna kropla tej rosy bożej i paliła się brylantem i rubinem. Natchnął ich duch nowy, którym pokraśnieli i zolbrzymieli. Widziałem wtedy jak owi o łbach wilczych znaczyli swe miecze krzyżami i okrywali się purpurą gdy im z barków urastały skrzydła orle i wielki sprawiały szum. A owi co klęczeli po środku, powstawszy poszli za pługiem, nad którym ulatywało skowronków stado i orali skiby nucąc pieśń na poły smutną na poły wesołą.

Wówczas ozwały się surmy wojenne i tamci karmazynowi zlecieli na skrzydłach swoich orlich jak ptacy, a ponad nimi płynął orzeł biały, kąpiąc się w błękicie i grała pieśń wielka wychodząc z ich piersi i unosząc się w niebo.

I stąpiła znowu owa postać biała z niedoścignionych schodząc wyżyn. Trzymała jak niegdyś pęki polnych kwiatów w rękach obu, ale twarz miała okrytą zasłoną ciemną upiętą na skroniach wieńcem niezapominajek, na którym stało wypisane złotemi literami z nieśmiertelników drobnych: „Jam jest ta, która się nie nazywam, a żyję wiecznie.“ I stanęła owa postać pod krzyżem i rzuciła garść ziela na ów lud orzący.

A wtedy uniosła się ze ziemi inna postać błyszcząca złotem i drogiemi kamieniami, wielka i dumna i stając na orlich skrzydłach owych karmazynowych dotknęła wyniosłem czołem zenitu. Przed nią leciała sława sługębna i o stu trąbach złotych wołając na wsze świata strony: „Oto jest królowa, której służebnikami są wieki.“

A na to odpowiedziała tamta: „Jam zaś jest służebnicą dnia dzisiejszego, bo moje jest jutro.“ (Dok. nast.)

Dwa lata dziejów naszych 1646 — 1648. Opowiadanie i źródła. Przez Karola Szajnochę. Tom I. Polska w roku 1646. *)

O najświeższej tej pracy powszechnie znanego i cenionego pisarza mamy zamiar wypowiedzieć nasze zdanie; chciażby może należało poczekać na wyjście drugiego tomu i całe dzieło poglądem objąć, że jednak wydany tom sam w sobie jest już pewną całością — na to bacząc przystępujemy do jego rozbioru.

Tom pierwszy poprzedza: Przegląd głównych źródeł rękopisowych. Myłki drukarskie i niedrukarskie, — składają zaś: rozdziały ogólnym tytułem „Opowiadanie" objęte: Rozdział 1. Kresy pogańskie; 2. Kozaczyzna; 3. Z rycerzów w chłopów; 4. Zamysł królewski; 5. Panowie senatorowie; 6. Dwory, sejmiki; 7. Sejm — tom kończą: źródła.

Wielu z naszych historyków aczkolwiek nauczają, że Słowiańszczyzna ma swe posłannictwo w dziejach różne od tego, jakie mają inne plemiona Europy, że zatem i właściwe formy swego ustroju rozwojowego mieć musi, — mimo to jednak, gdy rzecz dotycze Polski samej, gdy jej przeszłość wydostają na jaw, zdają się zapominać o wygłoszonem przekonaniu, i w pracy swej trzymają się kierunku sprzecznego z własnem zdaniem.

Misja Słowiańszczyzny — w niemowlęctwie, w sił świeżości przetrwać istniejący rzeczy porządek, by na przyszłość, objąć dalsze kierownictwo dróg ludzkości, jak skoro dotychczasowi działacze, siły swe styrawszy, nie będą mogli — jak tylko umrzeć, zajmowane przez się miejsce zostawiając świeżemu plemieniu Słowian. Że tak jest zaprzeczyć nikt nie zdoła, że inaczej być nie może jest koniecznością rzeczy.

Historja nas uczy, że duch ludzki rozwija się wiekami pewną całość w sobie stanowiącymi; to zwykliśmy nazywać światami. Każdy z takich światów późniejszych, będąc następcą swego poprzedzającego, nie mniej przeto utworzył sobie własną charakterystykę jego właściwością będącą, poszedł odmiennemi drogi, aniżeli jego poprzednik: do swego przejawienia się w bycie wynalazł sobie inne, odpowiednie mu, formy, nieprzydatne dla przeszłości, niewłaściwe dla przyszłości, która takąż samą koleją pójdzie, gdy wystąpi na działań widownię. Takich er ludzkości mieliśmy niemało, a ostatecznym wynikiem dobywań się filozofji jest to, że czasy obecne są czasami przełomu — przechodu do nowej ery ludzkości, do nowego świata — nowej fazy w rozwoju ludzkiego ducha. Stary świat kończy się — nowy w zaraniu.

Tym nowym światem ma być świat słowiański. Co jeśli tak jest, tedy stanem rzeczy najwłaściwszym było dotychczasowe bierne zachowanie się naszego plemienia w obec dziejowych ruchów świata — Zachodu, którego misja, trwając, dziś już, zbliża się do swego ukończenia. Kto siły swe chował na później — musiał być nieczynnym; kto przeznaczon do działania na przyszłość, ten z woli rozumnej konieczności otrzyma w c z a s i e potrzebne ku temu siły, których p r z e d c z a s e m posiadać nie mógł.

Patrzmy, że tak samo ma się rzecz ze Słowiańszczyzną. Świeże to plemie, mimo że ani liczbą ani wartością moralną nie ustępuje innym

*) »Co ma w sobie siły do istnienia będzie istnieć mimo kładzione mu tamy — nie mające sił potemu upadnie samo przez się.« Przekonani o prawdzie orzeczenia zamieszczamy niniejszą recenzję rozumiejąc, że nie przyganią naszej chęci otworzenia pola, ścieraniu się zdań ostatecznie korzyść nam przynoszących.

Ruch jeśli życiem nie jest — wywoła życie, a w około wcale martwo!.... Red.

w Europie będącym, przez wieki całe, do wszelkich ruchów działających ma się tylko biernie, zdaje się nie istnieć, posądzane nawet o niedołężność dla swej nieczynności. Tu miljony nie dają znaku życia; wszelkie dziejowe zawieruchy przemknęły nie pozostawiwszy śladu w tem olbrzymiem plemieniu jak wicher na kryształach jeziora; przez tyle wieków, gdy w okół przeistoczyło się wszystko i już się ma do swego rozkładu — Słowiańszczyna pozostała nietkniętą w dziewiczej swej czystości dniom przyszłym, które ją do czynnego żywota powołają.

Ta grzeszna u wielu, śmieszna u innych nieczynność naszego plemienia przez wieki, które tylu działań były świadkami — jest największą jego cnotą, bo odpowiada to przeznaczeniu rozumnej konieczności rzeczy, która nie spotrzebowuje wszystkich sił odrazu bacząc na roboty późniejsze. *Nieczyn naszego plemienia jest najświetniejszym jego czynem, bo odpowiadał czasowi, a był niezbędnym dla przyszłości.*

Co się do całości odnosi dotycze i jej części. Bierne zachowanie się Słowiańszczyzny nakazuje takiż stan jej składowym częściom — i patrzmy! wszystko tu wierne swemu przeznaczeniu: miljony ludu w całej Słowiańszczyźnie są i dziś jeszcze takimi, jak były przed wiekiem; zmiany w nich, to powierzchowne znaki — chorobliwy narost, który zniknie i ciało zdrowem zostawi. On jest ten sam: szlachetny, męzki, otwarty, gościnny, a głównie sił pełny, jeden tylko, gdy w około wszystkie ludy, zestarzałe, wleką się do oczekującego ich grobu.

Powiedzieliśmy już, że zadaniem Słowiańszczyzny było przetrwać w swem niemowlęctwie, aż do momentu, w którym kolej działania na nią przyjdzie i jakoż widzimy, że miliony *ludu*, który *wszystkiem* jest w naszem plemieniu, nie wyszły z kolei swego przeznaczenia i przez wieki pozostały tem dzieckiem, któremu najbliższa przyszłość oddaną została, by spełnił swoją misję i spełniwszy ją ustąpił z działań widowni pozostawiając spadkobiercom to, co utrzymał w spuściźnie, z przyczynkiem będącym owocem jego własnej wiekowej pracy — by takowi szli dalej drogą rozwoju ducha do granic wytkniętych mu przez Opatrzność.

Ponieważ lud słowiański utrzymał się na właściwem swem stanowisku właśnie przez bierne zachowanie się w obec czynnego żywota ludów innego plemienia wypada więc z tego, że wszystko to w nim, co ze swą całością solidarnem nie było, co przez działanie w opozycji było z jego biernym stanem — wszystko to było winnem w obec posłannictwa plemienia — było nienaturalnością — narostem, który zginąć musiał — zginął i zginie niepozostawiwszy po sobie, jak chyba wspomnienie, iż istniał jako ton fałszywy w harmonji, po ustąpieniu którego urocza pieśń zadzwięczała całą pełnią swego piękna.

Ale i naroście wszelkie, acz szpecą drzewo i są jego wrzodami, w rzeczy jednak nie są mu obce zupełnie; części ich składowe są też same co i drzew, z których powstały i na które wyszły; tak i wszelka ponadludowa niewłaściwość w Słowiańszczyźnie nie była jej zupełnie obcą, bo choć wpływem obczyzny wywołana, powstała przecież z samego plemienia — miała w sobie składowe jego części.

Nie wahamy się powiedzieć, zresztą przemawia za nami sama rzeczywistość, że i polskość, jak ją pojmować zwykliśmy, nie będąc w zupełności solidarną z milionami ludu, bo żyjącą, czynną w obec jego bierności, tem samem nie odpowiadała ogólnej zasadzie posłannictwu plemienia całego i swem przeobrażeniem się i w krótce nastąpić mającem zlaniem się i zniknięciem w ludzie przekonała i przekonywa nas, że była czemś odrębnem od całości, że zatem nie była i być nie może ideałem naszego ustroju narodowego. Polskość uosobiała się w szlachetczyźnie i jako taka miała swe

życie czynne — była solidarną z Zachodem, wbrew swej całości plemieniu nie dzielącemu tej solidarności. Szlachetczyzna dziś już dogorywa, toż i polskość nasza wstępuje w nową fazę swego bytu a ktoż zaprzeczy, że dąży do źródła, by się zlać z całością swą — ludem? Co w Słowiańszczyźnie po nad ludowość wyszło, to znikło i zniknie i na tej podstawie nic się zbudować nie da, bo gmach to będzie bez podwalin, któremi u nas lud jest, lud tylko.

Polskę rozumieć więc można jako ludową — ogólnie słowiańską, bez oddzielenia jej od swej całości, której udziałem przyszłość, i Polskę, jako coś po nad lud wspięte, co istniało w przeszłości, a dziś resztką żywota dogorywa, by przez śmierć, wrócić do właściwego życia swojej całości. Innej Polski nie ma i o innej nikt nie wie. O Polsce w ludzie wiedzą niektórzy tylko z pisarzów, jak powiedzieliśmy wyżej, niejako w przeczuciu tylko. O Polsce jako państwie potęgą i ustrojem równającem się i przechodzącem inne mocarstwa Europy wiedzą i mówią wszyscy historycy. O takiej więc Polsce pisze i p. Szajnocha.

Pomimo, że Polska szlachecka, Polska jako państwo odbiega od solidarności, zrywa z przeznaczeniem plemienia, że zatem formuje osobną całość z świadomością albo przeczuciem swej niedługowieczności, mimo to i taka Polska nie mogła być obcą swemu plemieniu. Jej kierunek był zwichniętym: czynem swym — życiem opozycyjną ona była, biernemu zachowaniu się całości, mimo to zupełnie zejść z drogi plemiennego pochodu nie mogła — niepodobieństwem jej było stać się odźwierciadleniem Zachodu. Polska państwo sprzeczna z krainą — ludem — Słowianią—mimo to nie mogła być Italją, Francją, Niemcami, Anglją. Więc najpierw: nie mogła być, jako Zachód cały, zepsuta! Wszystkie jej wady w masie nie wyrównywały części tego zepsucia, jakim gnił Zachód; nie mogła być nierycerską w obec tchurzliwości sąsiadów, nie mogła uwierzyć w bożyszcze Zachodu, pieniądz; niepodobieństwem jej było wyrzec się serca dla zimnego rozumu — zapomnieć o swobodzie i ugiąć karku niewoli mimo przykładów naokoło; najważniejsza: i taka Polska nie mogła być monarchją z królem panem życia i śmierci miljonów, chociażby to nawet oddało jej w moc władanie światem.

Wypowiedzieć to u wstępu czuliśmy się obowiązani, bo zapatrywanie się na Polskę z dwóch tych stanowisk cały przebieg jej historyczny ukazuje nam w odmiennym świetle: co dobre dla pierwszego, szkodzi drugiemu i przeciwnie. A na to, jak już wspomnieliśmy, bardzo mało naszych historyków zwraca uwagę, i niemal wszyscy zapatrują się na naszą ojczyznę z niedającego się usprawiedliwić rozumem rzeczy stanowiska, co niezaprzeczenie, szkodliwem jest dla nas.

Oświadczamy stanowczo, że zwolennikami Zachodu nie jesteśmy; wierzymy w odrębną misję naszego plemienia i temu hołdujemy, ale przekonani o mylności pochodu—zboczeniu z właściwej drogi tej części, która, na wzór Zachodu, siebie tylko uważała za wszystko, bo za naród, — odnosimy ją do przeszłości i jako na fakt dokonany patrzymy analizując to wszystko, co w tej rzeczy analizje podlegać może. Polskę jako szlachetczyznę — państwo rozumiemy także; kochamy ją, bo zestawienie z ościennemi państwami i w ogóle z Zachodem na jej korzyść przemawia. Umiemy się postawić na obu stanowiskach: ludowości i państwowości Polski, rzeczy zowiemy właściwem imieniem, ale pomówić nas, za to, o brak patrjotyzmu byłoby niesprawiedliwością. Nie sympatyzujemy z państwem nawet takiem, jakiem była Polska, bo ono, w zasadzie nie licuje z przeznaczeniem Słowiańszczyzny mającej wynaleźć sobie inne formy dla swego przejawienia się w bycie; kochamy ją sercem całem jako lud wielki i w plemieniu swem mający olbrzymią przed sobą przyszłość, ale powtarzamy, że przeszłość Polski nie ma w nas swego

wroga i postawiwszy się na stanowisku państwowości Polski, ulubionem przez naszych historyków, nie zawahamy się wypowiedzieć nasze zdanie, rozchodzące się ze sposobem zapatrywania się znakomitego naszego historyka-poety, któremu, sądzimy, w niczem to ubliżyć nie może. Gdyby nie było ścierania się zdań, to tak prawda, jak i fałsz zarówno mogłyby stać wieki równe mając poszanowanie u ludzi.

Młodszemu pokoleniu dostało się w udziale zapatrywanie się na dzieje nasze i w ogóle to, co nas dotycze jako narodu, odmienne od tego, które ojcowie nasi i starsi powagą, zdobyli pracą i przyjęli w spuściźnie. Posłuchajcież zacni mężowie i naszego głosu; poprawcie gdy błądzimy, ale nie posądźcie o brak miłości ojczyzny, bo dowodów nie brak, że ją kochamy nie mniej jak i wy, mimo, że zdania nasze w rzeczy rozchodzą się z sobą.

U wstępu już wypada nam zaoponować wysoce cenionemu autorowi, bo nie podzielamy jego zdania o posłannictwie Polski „obrończo podbijającem“ jak je sam nazywa. Nie mówimy już o krainie naszej jako cząstce całości, która, jak wiemy, zupełnie co innego miała przed sobą, aniżeli misję o której mówi autor, ale nawet Polska — państwo, w zasadzie, nie mogła jak tylko bronić rodzinnego gniazda i właśnie wewnętrznym swym ładem, ogólną szczęśliwością jej obywateli miała być, jak z jednej strony wzorem dla innych, tak znów pociągać ku sobie tych, którzy w połączeniu z Polską dopiero zdołaliby osiągnąć to, czego im ustrój własny odmawiał. I jakoż widzimy, że Polska przez wieki powiększa się nie podbojem, nie opiera swej potęgi na zniewoleniu — jarzmie, ale owszem potężnieje przez dobrowolne łączenia się z nią osciennych ludów, — jako państwo nawet nie idzie ona ścieżką Zachodu, bo nie zwiększa ją żelazo, ale cnota Więc nie podbój! A jeśli ten i miał kiedy miejsce, to był grzechem, za który kara dosięgła grzeszników.

Wyżej powiedzieliśmy, że posłannictwo naszego plemienia było: przez wieki w sił świeżości zachować się dla przyszłych działań; zatem zachowanie się bierne było mu właściwem; mówiliśmy znowu, że wszystko to, co się połączyło z życiem czynnem — Zachodem było występnem w obec plemienia, przedewczesnem, a więc nie trwałem i które już albo zginęło, albo zginie lada dzień; taką niewłaściwością nazwaliśmy życie polskości z Zachodu biorące wzory dla się, a więc formę państwową Polski; bylibyśmy jednak niesprawiedliwymi, gdyby kierunek ten na bezwarunkowe potępienie zasłużył sobie u nas. Istniejące usprawiedliwia się przyczyną, która go do bytu wywołała. I państwowość naszej ziemi, również ma swe usprawiedliwienie w przyczynach. Plemie Słowian, potężne i szczęśliwe szczęściem dziecięcia, nie miało jednak raj za swe siedlisko. W prawdzie ojczysta ziemia była i jest rajem dla Słowianina, mimo to znał się on z cierpieniem, bo naokoło były ludy pokoju nie miłujące ludy, których misja właśnie była taką, o jakiej mówi p. Szajnocha — obrończo podbijająca od zachodu i z południa — mord i zniszczenie niosąca z północy i wschodu. Pomiędzy takimi siąsiady znalazłszy się, nie mógł Słowianin oddać się żywotowi błogiego spokoju, ale choć dziecię, i właśnie jako dziecię, chwycił się nieuczonych środków obrony, ale zawsze obrony tylko od napastujących go wrogów. I taki stan rzeczy był najwłaściwszym: żyć spokojem — wrogów napaść odeprzeć wzajemnemi siłami.

Wpływ złego potężny jest, a człowiek rzadko by się mu całkowicie nie poddał. Zapatrzenie się na sąsiadów, niechęć do walk całego ogółu, a znów wyjątkowa pochopność jednostek utworzyły zbrojną drużynę, która początkowie bawiąc się wojną z wrogiem, powoli zapragnęła władzy nad spokojnymi swoimi braćmi i zdobyła ją wreszcie, a wzoru sobie u oświe-

ceńszych sąsiadów pożyczywszy poczęła się mnożyć liczbą i organizować w całość. Tak było w całej Słowiańszczyźnie, tak było i u nas; oto zawiązka państwowości, a dalszy bieg jej kształcenia się u nas znany z historji. Nie cofamy orzeczenia, że podobny stan rzeczy grzeszył w obec posłannictwa plemienia, że zatem zasługiwał na potępienie i apoteozować go nie godzi się, ale też podaliśmy i to, co służy wymówką jego zjawienia się — przyczynę, która tę niewłaściwość wyrodziła u nas.

Państwowość Polski, początek swój biorąca ze stowarzyszenia ludzi orężnych, dalsze swe soki czerpie z tegoż rycerstwa, które wiekami urosło w liczbę nie mało mając rodzinnego w sobie, nie mało też i obczyzny uswoiwszy charakterowi własnemu; — owo rycerstwo jest w końcu szlachtą — narodem po nad naród, z królem panem i zarazem sługą, w braterstwie między sobą, a z przepaścią, która dzieliła możnych od chudopachołków — zjawisko dziwne, zaprawdę, a choć niewłaściwością zrodzone piękne jednak obok wszystkiego, co wydał Zachód, jak gdyby na świadectwo potęgi plemienia, którego niedojrzały nawet owoc lepszym jest od tego, co Zachód dobrym zwie u siebie.

(C. d. n.)

Kilka słów o dramacie dzisiejszym z powodu dramatu Dzierzkowskiego „KRZYWDA I ODWET.“

(Dokończenie).

Przejdźmy w krótkich słowach treść tego utworu, która, jak się pokaże, już sama w sobie więcej jest zdolną do powieści niż do dramatu. Dzieje się to za czasów konfederacji barskiej. Tłem dramatu jest niezgoda i nienawiść dwóch szlachciców ze sobą. Skarbnik Tryksza i kasztelan Sołohub, sąsiedzi a nawet dawniej przyjaciele, pokłócili się i jakto zwykle bywa, od hetki do pentelki przyszło do tego, że Sołohub, wziąwszy Moskali na pomoc, napada w nocy na dwór Trykszy, do którego rości sobie jakieś prawa, wyrzuca sąsiada wraz z żoną i dopiero co narodzonem dziecięciem, i przekupstwem zaciera ślady swojej samowoli. Dowiadujemy się to wszystko z ekspozycji dramatu. — Czynność dramatu zaczyna się o kilkanaście lat później po śmierci kasztelana Sołohuba i żony skarbnika. — W dzień rocznicy owego napadu Stanisław Sołohub, syn kasztelana Sołohuba, zbłąkawszy się sam nocą w lesie, gdzie polował wraz z całem gronem młodzieży, natrafia przypadkiem na dwór skarbnika, i prosi o schronienie na noc. Skarbnika niema w domu, znajduje się także na polowaniu. Zosia, córka skarbnika, poznaje w zbłąkanym gościu z radością i zdziwieniem znajomego, którego w Warszawie, gdzie przez niejaki czas u swej ciotki podstoliny bawiła, często widywała, a do którego serduszko jej lgnęło już od dawna. Innem okiem patrzy na przybysza Jacek, stary sługa skarbnika, który od czasu owego napadu, gdzie dostał postrzał w głowę, zdziczał, miewa chwile obłąkania i marzy ciągle o zemście na Sołohubach. Ten poznaje z podobieństwa twarzy w nowo przybyłym gościu syna kasztelana Sołohuba, i chce go zabić, czemu jednak Zosia szczęśliwie przeszkadza. W drugim akcie Kazimierz Wałko wice rejent, powracając z skarbnikiem z polowania, prosi go o rękę jego córki i otrzymuje przychylną odpowiedź. Skarbnik, wchodząc w progi owego domu, zastaje kasztelanica, klęczącego u stóp Zosi, by jej podziękować za ocalone wczoraj życie. Na pierwszy wybuch gniewu skarbnika odpowiada

kasztelanic z godnością, prosząc o rękę córki, którą od dawna już zna i kocha. Zapytany o imię, nim ma czas odpowiedzieć, z krzykiem i hałasem wpadają jego towarzysze polowania, z szambelanicem, krewnym jego, na czele, i radzi, że znaleźli zbłąkanego przyjaciela wykrzykują: Wiwat Sołohub! wiwat! — To imię wstrząsa skarbnika do żywego; w śmiałym konkurencie Zosi poznaje on syna najzaciętszego swego wroga. Zaperzony od gniewu rzuca kasztelanicowi grzech i imię ojca pod oczy, i chcąc wet zawet zaszydzić z jego miłości, zaprasza go na świadka zaręczyn swej córki z wice rejentem Kazimierzem Wałko. Kasztelanic, dzieckiem jeszcze wychowany u krewnych, nic do tychczas nie wiedział o tej plamie, ciężącej na swojem imieniu. — Teraz, chcąc to naprawić, posyła szambelanica w poselstwie do skarbnika, obiecuje mu oddać przez ojca zabrany majątek i prosi o zapomnienie dawnych krzywd. Skarbnik nie chce ani słyszeć o zgodzie, póki kasztelanic sam przed sądem nie zezna, że ojciec jego własny był infamisem, poplecznikiem Rosji, zbójcem.... Tymczasem podstolina, która wezwana przez kasztelanica na wieś przybyła, by za nim słówko przemówić, urażona szorstkością skarbnika i niechcąc na to zezwolić, żeby „dama wielkiego świata, która była w Wersalu, dała się zwyciężyć sarmackiemu niedzwiedzowi,“ postanawia zemścić się wykradzeniem Zosi. Wszystko już gotowe do urzeczywistnienia tego zamiaru gdy wtem kasztelanic, który w pierwszym szale miłości przystał nato, namyśla się, że krok ten byłby niegodziwym — i żegna się z Zosią na zawsze. Skarbnik, uwiadomiony o tem przez Jacka nagli Zosię do ślubu z Kazimierzem Wałko. Zosia niemając innego ratunku wyznaje Kazimierzowi, że go niekocha, że wierzy w jego szlachetność, i przeto jest pewna, iż ją nie zechce uczynić nieszczęśliwą. Ten uwalnia skarbnika od słowa, lecz przysięga zemścić się na rywalu. Wyzwany przez niego kasztelanic zwraca jego uwagę, że nie godzi się dziś, gdy tuż opodal bój się toczy z wrogiem, krwią prywatne zmywać krzywdy, że Polak świętsze ma dziś obowiązki..... i obaj idą do obozu konfederatów. Kazimierz żegnając się z skarbnikiem daje mu poznać piękną i szlachetną duszę kasztelanica — wzruszony tem skarbnik przebacza mu krzywdy ojcowskie, błogosławi go na drogę, i obiecuje rękę Zosi po powrocie.

Osnowa ta, w której, jak widzimy, przypadek, zbieg okoliczności przeważnie nieraz wpływa na los działających osób, gdzie osoby, niemając ostro wytkniętych sobie celów dają się powodować chwilowemi pomysłami, gdzie pojedyncze czynności często nie skupiają się w jedną całość, lecz są raczej epizodami powieściowymi, nie jest dobrym materjałem do dramatu. Materjał ten dałby się prędzej użyć do powieści, a nawet pod biegłem piórem autora mógłby urość w jednę z owych pięknych pereł, jakiemi ś. p. Dzierzkowski, ile razy chciał, literaturę obdarzał.

Nie myślimy rozwodzić się szczegółowo nad pojedyńczemi osobami tego dramatu, gdyż nie tyle chodzi nam tu o dokładny rozbiór sztuki, jak raczej o wykazanie fałszywego kierunku, który dziś dość silnie czuć się daje, a którego koniecznym nawet wynikiem są błędy, jakie dramat ś. p. Dzierzkowskiego w sobie mieści; przecież choć w krótkości dotkniemy charakterów ważniejszych osób, by zarzuty nasze nie zdały się na wiatr rzucone.

Charaktery tego dramatu są wprawdzie dosyć rozmaite, różnorodne, ale dla dramatu za słabo nakreślone. Brak im tej woli silnej, tego skupienia ku jakiemuś wyższemu celowi, tego przejęcia się jedną myślą, które w dramacie jest niezbędne. I tak weźmy kasztelanica, który, jak się zdaje, ma być bohaterem sztuki. Jestto, trza przyznać, młodzieniec szlachetny, mający grunt serca dobry, a nieraz i wiele szlachetnych popędów, — ale mimoto człowiek na bohatera dramatu zanadto zwykły, nie mający żadnego celu wyższego przed oczyma, dający się lada czem powodować. Wskazujemy tu na scenę 4. aktu III., w której za namową szambelanica i podstoliny nagły go szał napada Zosię wykraść i poślubić. — Zdawałoby się, że nastąpi tu w dramacie nadzwyczajny jakiś wzrot. Lecz gdzietam! — za chwilę namyśla się lepiej i postanawia, tak jak mu sumienie nakazuje, pożegnać

się z Zosią na wieki. Jestto zapewne zwycięstwo strony dobrej nad złą, ale i słabostka dla bohatera nie do darowania — a takich słabostek jest tu więcej. Wskazujemy dalej na scenę 7. aktu IV, gdzie kasztelanic, wyzwany przez Kazimierza, przypomina sobie dopiero, że zawiązała się jakaś konfederacja barska (o której w II. akcie już wiele mówiono), że obowiązkiem Polaka jest, odkładając na bok wszelką prywatę, iść do boju. Nie dziwi nas to tak bardzo, gdy Kazimierz, chłopiec poczciwy, lecz zasuszony w swojej palestrze, flegmatyk, zresztą figura podrzędna w dramacie, nie wiele myśli o tem, co się koło niego dzieje, ale kasztelanicowi trudno to przebaczyć. Od bohatera wymaga się więcej; czuć musi on trochę głębiej niż ludzie zwykli.

Nawiasem powiemy tu, że szkoda to wielka, iż autor tło konfederacji barskiej tak wtył posunął, tak mało poruszył. Należałoby włożyć w dramat więcej tego życia, ruchu, oczekiwania, zamieszania, którem serca polskie wówczas drżały, osoby powinne silniej tem powietrzem oddychać; wszakże to przecie dawna szlachta polska, która się odrazu unosi, ostyga też także dosyć prędko, ale któraby przecież się wstydziła jak francuscy bohaterowie dopiero po zakończeniu rozpaczliwych romansów iść na pole walki, która się pod nosem toczyła! — Mógł autor i wcale nieporuszać konfederacją barską, bo śmiesznością byłoby żądać, aby każdy dramat był koniecznie osnuty na zdarzeniu historycznem; ale postawiwszy raz już tło takie, i dawszy poznać, że bohaterowie, widzą, co się koło nich dzieje, nawet o tem mówią, trza było ich natchnąć większym trochę zapałem ku sprawie publicznej.

W skarbniku jest typ starego polskiego szlachcica. namiętnego, impetyka, ale o dobrem sercu i szlachetnych uczuciach dość szczęśliwie schwycony, i jest to bezwątpienia najlepsza figura dramatu. Obok niego mógłby stanąć Jacek, sługa skarbnika, a byłaby z niego nawet wcale dramatyczna postać, gdyby był jeszcze trochę wyraziściej nacechowany. Zosia i Anna, mamka jej dawna a teraz przyjaciółka, opiekunka, należą także do szczęśliwiej udanych figur, a sceny malujące ich stosunek wzajemny mają nawet wiele wdzięku. Pomijamy tu szambelanica i podstolinę, jako osoby podrzędne a zresztą charaktery dość już zużyte.

Wogóle zaprzeczyć nie można, że znajdują się w dramacie nieraz udane, szczęśliwe miejsca, w całym nawet utworze czuć rękę zdolnego, biegłego pisarza — ale jednak, biorąc rzecz w całości, jasno dopiero widać, ile temu utworowi brakuje, by prawdziwym był dramatem, na jak niewłaściwem stanowisku stanął tu autor. I to jest właśnie, naco przedewszystkiem nacisk kładziemy, nie mając zresztą tak bardzo na celu rozbierać szczegółowo ten utwor, który scisłej krytyki wytrzymać nawet nie może.

Kończymy tych kilka uwag o dramacie dzisiejszym w przekonaniu, że nikt nas nie posądzi o chęć uchybienia ś. p. Dzierzkowskiemu, którego sława jako powieściopisarza jest zresztą zanadto ustaloną, by przezto jakiś uszczerbek ponieść mogła. Zdanie nasze wyda się może komu zanadto ostre, bezwzględne,— jest ono jednak tylko bezstronnem; jest to bowiem naszem przekonaniem, że krytyka powodowana jakiemiś względami, chwaląca wszystko półgębkiem, ześlizgująca się zgrabnie z swego przedmiotu (co dziś niestety stało się u nas zwykłą nawyczką) jest dla prawdziwych talentów ubliżeniem, zostawia się ona dla głów słabych, miernych, których niedostatki łatać trzeba pochwałami przez wzgląd na ich dobre chęci.

R. P.

Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski. Wydał August Bielowski. Tom I. Lwów, nakładem własnym 1864. str. XXXII i 946.

(Ciąg dalszy.)

Pomiędzy kronikarzami polskimi zajmuje pierwsze miejsce Gall. Kronikę jego, której ważność dla dziejów Polski uznał już Herburt i takową wydać zamierzał, ogłosił poraz pierwszy Lengnich w Gdańsku r. 1749 z rękopisu należącego niegdyś do Piotra z Szamotuł kasztelana i starosty poznańskiego. Jan Winc. Bandtkie, wydając ją krytycznie w Warszawie r. 1824 z polecenia tow. przyjaciół nauk warszawskiego, miał do użytku swego dwa rękopisma, mianowicie Szamotulskiego (zwany także heilsberskim, bo się znajdował w Heilsbergu, w bibliotece biskupiej), tudzież rękopis Sędziwoja z Czechła, wynaleziony przez Czackiego. Jak niegdyś Herburt, a przed nim jeszcze Kromer i Sarnicki autora kroniki tej Gallem nazywali, tak też nie wahali się zatrzymać to imię obaj wydawcy jego Lengnich i Bandtkie, albowiem w rękopisie Szamotulskiego znajduje się na początku napis dawnej ręki: „*Gallus hanc chronicam scripsit, monachus*,“ a w końcu kroniki dołożono: „*hucusque Gallus.*“

Wydawcy kroniki tej w Pertza zbiorze „*Monumenta Germaniae*“ odrzucili nazwę tę jej autora i dali jej tylko napis ogólny „*Chronicae Polonorum.*“ Bezimienność taka niczem nie jest uzasadniona i nie przyczynia się bynajmniej ani do wyróżnienia pisarza tego od innych, ani do pojaśnienia samej istoty rzeczy. Słusznie więc, jak nam się zdaje, postąpił sobie Bielowski przywracając w wydaniu swojem tej kroniki dawne miano autora jej Galla i okazując, że nazwanie to nie jest bynajmniej dowolnem, lecz przeciwnie łączy się ściśle z osnową całej tej kroniki i jest charakterystyczne, albowiem tak forma jej rymami i asonancjami brzęcząca, jako też zdania pojedyńcze i lokucje zdradzają, iż autorem jej jest jeden z zakonników św. Galla, czyli Gawła, bo tak to imię brzmi po polsku.

Prócz dwóch rękopisów wyżej wspomnionych znalazł się jeszcze i trzeci w bibliotece ordynackiej Zamojskich w Warszawie, pisany na pergaminie w wieku XIV. Porównał go pilnie z dawniejszymi i warjanty jego zebrał jeszcze na początku roku 1848 Bielowski i na tych to jego wypisach opiera się tak wydanie owe, które dla zbioru Pertzowskiego wygotował niegdyś Szlachtowski, jako i niniejsze, które sam w Pomnikach uskutecznił. Różnica jednak obu tych wydań jest znaczna. Pominąwszy poprawę wielu mylek w tekscie, jakich się w wydaniu Pertzowskiem przypadkowym sposobem dopuszczono, ma jeszcze niniejsze lwowskie wydanie tego kronikarza ogromną wyższość nad tamtem ze względu na objaśnienia zdarzeń.

Bielowski zastanawiając się głębiej nad samymi rękopisami, dostrzegł, że Galla kronika była dwa razy redagowana. Ślad pierwszej redakcji jej przechował rękopis Szamotulskiego, zaś Sędziwoja z Czechła rękopis jak i ordynacki Zamojskich podają nam drugą redakcję, która nastąpiła dopiero w kilka lat poźniej po r. 1110, a obok swoich zalet nie jest jednak wolna od błędów. To odróżnienie podwójnej redakcji rzuca światło bliższe na czas pisania kroniki i towarzyszące mu okoliczności, a prócz tego dozwala wykryć niektóre wtręty, jakie się poźniej do tekstu wcisnęły. Zwrócimy tu uwagę na parę tego rodzaju szczegółów.

W rozdziale III księgi I opisuje nasz Gall bitwę, którą stoczył Bolesław Chrobry nad Bugiem z Rusią r. 1019, dodając jakoby tam, wraz z Rusinami, i Połowcy i Pieczyngi się znajdowali. Nikt nie zwrócił uwagi na ten anachronizm. Co do Połowców bowiem jest rzeczą powszechnie wiadomą, że poraz pierwszy pokazali się oni na Rusi dopiero r. 1061; zapisał to wyraźnie pod tymże rokiem Nestor;

skądże mogli się oni tu wziąść już pod rokiem 1019? — Otóż rękopis Szamotulskiego, do którego wydawca słusznie niemałą wagę przywiązuje, nie ma zgoła w tekscie swoim słów owych „*cum Plaucis et Pincinakitis*,“ a ponieważ tychże słów niema także ani Jan Szlązak, ani bezimienny autor *Chronicae principum Polonorum*, ani mistrz Wincenty, którzy wszyscy zdarzenia owe z Galla wypisywali, zawiązuje więc Bielowski stanowczo, iż słowa owe są wtrętem i w oczyszczonym tekscie kronikarza tego znajdować się nie powinny. (C. d. n.)

ROZMAITOŚCI.

— Niedawno zmarły, jak podaje „Даница“ w nrze 14., Irl, Wiliam, Thomas, Harner, Focs Strenpuejs, zapisał Towarzystwu przyjaciół Polski w Londynie 100 funtów sterlingów; 1000 dla uniwersytetu w Oxford na stypendje dla studjujących język polski, albo inne z narzeczy słowiańskich, jego literaturę albo historję z poglądem na szerzenie znajomości polityki europejskie, w ogóle. —

— **Senat wszechnicy Jagiellońskiej** po dopełnieniu wyborów akademickich na rok 1865/6 będzie się składać z następujących osób: Rektor dr. Dietl, prorektor dr. Dunajewski; dziekani i poddziekani wydziału teolog. dr. Wilczek i dr. Schindler; prawniczego dr. Brühl i dr. Burzyński, lekarskiego dr. Piotrowski i dr. Majer, filozoficznego dr. Kremer i dr. Bratranek. Wszystkie wybory muszą być jeszcze potwierdzone od ministerstwa.

Katalog odczytów tejże wszechnicy wykazuje na pierwsze półrocze 1865/6: 15 odczytów na wydziale teologicznym (2 w polskim 13 w łacińskim języku), 20 odczytów na wydziale prawniczym (z tych 9 w niemieckim języku) 35 godzin na wydziale medycznym (z tych 4 w niemieckim), 30 odczytów na filozoficznym wydziale (z tych 4 w niemiecktm). Profesor Walewski (znany z odczytów swych z historji) jest na urlopie i nie będzie wykładał w tem półroczu.

— Sommer Feliks. O wypiłowaniu stawu łokciowego (*De resectione cubiti*). Rozprawa napisana celem uzyskania stopnia doktora medycyny w wydziale lekarskim Szkoły głównej warsz Warszawa, druk Gazety Polskiej. 1864. 8ka str. 159.

— Materjały do topografji lekarskiej i Hygieny Podola. Część I. Kamienice, place i ulice, kanały i ścieki przez Aleksandra Kremera i Józefa Rollego. O oświetleniu miasta Kamieńca i jego mieszkań prywatnych przez J. Rollego. O prostytucji miejskiej na Podolu przez J. Rollego. Warszawa r. 1865. 8ka str. 45.

— Seifman Piotr. Włośnik i włośnica (*Trichina et Trichiniasis*) ze zwroceniem szczególnej uwagi na środki zaradcze przeciw tej chorobie u ludzi. Z 6. rycinami w tekscie. Warszawa, 1865. 8ka str. 40.

— Bruner Mikołaj, Ludwik. O ilościowem oznaczeniu kwasu moczowego w moczu i w kominkach moczowych. (Odbitka z Pamiętników Towarzystwa Lekarskiego Warsz.) Warszawa, 1864. 8ka str. 36. Ostatnie trzy broszury czcionkami A. Liefeldta.

Do numeru niniejszego dołącza się 14ty arkusz „pamiętników księdza Ciecierskiego“ dla prenumerujących się na dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **F. B. Twardowski.**
Główny współpracownik: **L. Tatomir.**

Z drukarni Zakładu nar. im. Ossolińskich. *Pod bezpośrednim zarządem Aleksandra Vogla.*